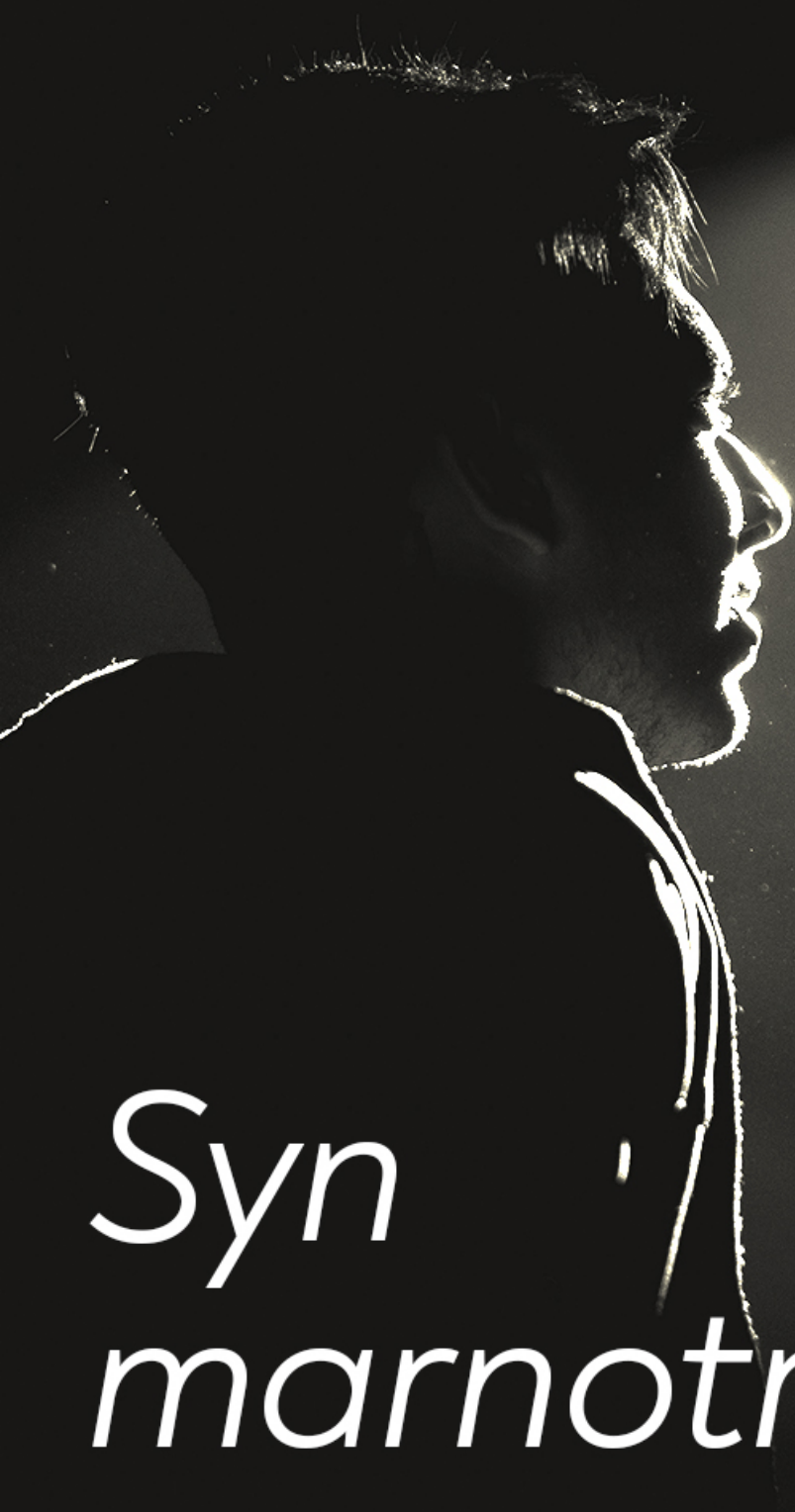


Józef Ignacy Kraszewski



*Syn
marnotrawny*

Józef Ignacy Kraszewski

Syn marnotrawny
OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII
WIEKU

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Józef Ignacy Kraszewski
„Syn marnotrawny”

Copyright © by Józef Ignacy Kraszewski, 1878
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
2020

**Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia Józefa Bergera
Wydawnictwo: Redakcja Biblioteki Warszawskiej
Warszawa, Kraków, 1878

ISBN: 978-83-8119-753-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

TOM I

I.

Było to dnia 24 lipca 1788 roku. Doktor Joachim Mellini, stary człek, stał spokojnie przed swoim dworkiem na Winiarach, używając, a raczej szukając świeżego powietrza, którego w swoich izdebkach znaleźć nie mógł. Wieczór był dosyć późny, powietrze duszące i ciężkie, jak przed burzą, choć na niebie się ona nie zwiastowała; na północy tylko, gdzie wiele chmur nie widać było, kiedy niekiedy pobłyskiwało słabo.

W mieście i na przedmieściu panowała cisza letniego wieczoru, z rzadka przerywana głuchym, dalekim wozu turkotem. Powietrzem nieporuszonem żadnym powiewem, gorącem, gęstem, trudno było oddychać. Po dworkach gdzieniegdzie rzadkie zapalały się światełka, okna wszędzie stały otworem, bo każdy pragnął pochwycić trochę świeżości, której nigdzie nie było.

Doktor mało co ubrany, ze swą łysą jak kolano głową, okrągłym brzuszkiem, przymrużonymi oczyma, cały w bieli jak widmo malował się na ciemnym tle drzwi otwartych domku swojego.

Z niedalekiego dworku zamieszkałego przez pobożnego izraelitę dochodził go płaczliwy głos modlitwy wieczornej, tak jakoś rzewny, tak zbolący, że stary Mellini, który wiele sentymentalnym nie był, uczuł się nim poruszonym.

Nigdy może te niezrozumiałe dźwięki wygnańczej modlitwy, takiego na nim nie uczyniły wrażenia! Był to jęk tysiącoletniej boleści, z pokolenia w pokolenie podawanej, spotęgowanej wiekami.

Doktor zadumał się głęboko... wtem inny krzyk i wołanie, niezbyt daleko się rozległo. Drgnął. Zdało mu się że słyszy głos swej siostrzenicy Pepity, na której powrót od sąsiadki pani Strańskiej oczekiwał właśnie. Modlitwa na chwilę ucichła, jakby w łkaniu łzawym połknięta, i doktor nastawiwszy ucha, chwycił niem wyraźne nawoływanie siebie.

Zdziwiło go to i przestraszyło razem. Był to głos Pepity: nie mógł się omylić. Cóż się jej stało? Była więc w niebezpieczeństwie? wzywała ratunku!

Nie troszcząc się o dworek stojący otworem, ani o ubranie swe do wyjścia niezbyt właściwe, doktor jak stał rzucił się w bieg o ile mógł w stronę, z której go wciąż wołanie dochodziło.

Biedz właściwie nie mógł, bo i wiek i otyłość dawno mu wszelką myśl biegu z głowy wybiły; szedł jak mógł najśpieszniej, potykając się w mroku, co chwila zagrożony upadkiem, wywijając rękami rozpaczliwie, które mu do utrzymywania równowagi posilkowały.

Zdyszany, coraz prędzej krocząc po kamieniach i dziurach, które ostatnia ulewa powybiiała, doktor ujrzał nareszcie postać w bieli stojącą u węgła domu z załamanymi rękami. Dom ten był znaną dobrze winiarnią Seliga Pesztaner'a, i, co rzecz była naówczas prawie nie praktykowana, paliła się przed nim latarnia. Niedaleko od niej stała Pepita, dzięki Bogu na oko cała, zdrowa... i sama jedna.

Doktor odetchnął, zbliżywszy się dopiero dostrzegł że przed nią leżało coś na ziemi, ku czemu piękna Pepita

zwracała coraz oczy, a ile razy spojrzała, jęk się z jej piersi dobywał.

Doktor już miał połączyć swoją ukochaną że mu takiego strachu narobiła, gdy Pepita, zobaczywszy go, wołać poczęła:

— Chodź prędeej! na miłość Boga! Jakież nieszczęście się tu stało! Prędeej! prędeej!

Mellini już śpieszniej iść nie mógł, tchu mu brakło, zbliżył się do latarni: pod słupem jej ujrzał leżącego człowieka. Cały blask nie zbyt rześisty zapalonych dwu świeczek u góry, padał na piersi i twarz tego nad którym stała Pepita.

Sądził z razu doktor że miał do czynienia z pijanym tylko; ale w tej chwili ośmielone dziewczę krzyknęło i pochyliło się nad leżącym.

Mellini dostrzegł dopiero że głowa i piersi omdlałego czy dogorywającego człowieka całe krwią były zbroczone. Był to obraz, który nie tylko słabe, litościwe dziewczę mógł przejąć zgrozą i natchnąć miłosierdziem.

Padające na twarz światło dawało rozpoznać śliczną głowę młodzieńca, jakoby z marmuru wykutą, rysów tak szlachetnych, tak artystycznie pięknych, że doktor mający we krwi swej włoskiej poczucie wielkie kunsztu, zapatrzał się z razu na to oblicze jakby na dzieło sztuki. Usta w pół otwarte, które boleść zdrętwiał, miały wyraz męstwa i pogardy; ręką skostniałą trzymał się za piersi poranione, na których suknia zbroczona była i potargana. Złamana szabla leżała przy nim.

Był to widocznie jakiś ostatni akt krwawego dramatu, którego sprawcy umknęli.

Doktor śpiesznie schylił się nad ciałem, przyłożył ucho. Pierś dyszała jeszcze, ciało drgało, a z ust wyrывał się jakiś straszny głos chrypliwy, jakby ranny dogorywał. Mellini natychmiast, o ile ciemność dozwalała, począł badać i oglądać pokaleczonego.

Pepita, z oczyma wlepionymi, stała nad nim, badając i twarz młodzieńca i zasępione oblicze wuja, który podnosił głowę z lekka, przyglądał się ranom a milczał.

W końcu zawołał wstając:

— Ależ go tu tak pod tym gołem niebem, na ziemi, nawet ratować nie można! Cóż to się stało....

— Ja nie wiem — poczęła Pepita — nadeszłam na ten widok straszny i zaczęłam wołać na was.

Doktor wstał niespokojny.

— Przecież ktoś w tym domu być musi. Czy nie słyszeli?

I rezolutnie skierował się ku drzwiom winiarni. Drzwi stały zaparte: Mellini gniewać się począł.

— Co u licha! — krzyknął, bijąc w okiennicę — otwierać!...

Zapewne głos jego poznać musiano, gdyż z wewnątrz poczęło się okno otwierać, uchylono i okiennicę; głowa na wychudłej szyi pokazała się, ostróżnie rozglądając.

— Ranny człek leży pod waszemi drzwiami — zawołał doktor.

— My nic nie wiemy! my nic nie wiemy! — odezwało się naraz aż dwa głosy przestraszone — u nas nikogo nie było!

— Nie można tak go tu porzucić jak psa! — odezwał się Mellini — potrzeba go do izby wziąć ażebym mógł

opatrzyć.

— A! gwałt! — zawołał jeden z głosów w oknie. — Panie konsyliarzu! to nie może być! W naszym domu krew i takie historie! żeby, chowaj Boże, umierał, to nie może być!

— To nie może być! — powtórzyło z wnętrza naraz aż trzy głosy. — Aj! gwałt!...

Mellini, choć zwykle spokojny i szyderski, tym razem się pogniewał.

— Niech was tam!... — krzyknął. — Boicie się wszystkiego, gdy człowiekowi życie ratować potrzeba.... A lepiej będzie, gdy tu wam pod bramą zemrze.... Ja poświadczę, żeście mi pomocy nie dali.

Wewnątrz szemrać i naradzać się poczęto. Słysząc było spór i łajanie, męskie i kobiece głosy; doktor stał, coraz się bardziej niecierpliwiąc.

— U nas miejsca niema! — zawołała głowa na cienkiej szyi. — I kilka głosów za nią powtórzyło: — Niema miejsca!

Mellini, człek wielkiego serca, oburzył się.

— Selig, słyszysz! dwóch mi daj natychmiast ludzi, żeby go do mnie zanieśli. Do mnie! Pał was diabli z waszem miejscem, ja go nie potrzebuję, ale rąk mi potrzeba i te muszę mieć. Zaraz mi tu dać koc czy derę, czy co chcecie i waszych myszuresów, żeby go do mnie zanieśli! Albo no..... per Dio! poznać mnie!

Pogroził pięścią ściśniętą.

Zdaje się, że tej demonstracji już nawet nie było potrzeba. Ruszyło się wszystko we wnętrzu winiarni,

zawieruszyło i po chwili drzwi odryglowano. Chłopców aż trzech szło, niosąc dywanik stary.

Przez cały czas tego parlamentowania u okna Seliga, Pepita stała wpatrzona w leżącego na ziemi młodzieńca. Oczów od niego oderwać nie mogła. Twarz ta już wpół całunem śmierci okryta, pociągała ją jakimś urokiem, z którego dziewczę sobie sprawy zdać nie umiało. Było w niej coś dla niej nieznanego, jakaś mężka buta, coś heroicznego, wyraz jakiś odwagi i wzgardy śmierci, a zarazem bólu straszliwego; był wdzięk młodości bujnej, pańskiej, królewskiej, był wdzięk królewski, także królowej życia, młodości. Ten pół trupa, na rozrzuconych ciemnych włosach, spoczywająca głowa krwawa, zbladła, ciągnęła ją za sobą w śmierci otchłanie. Litość ścisnęła młode jej serce!

Trzebaż było tej istocie, tak zbrojnie do pięknego życia stworzonej, w progu jego umierać?

I łzy toczyły się po ślicznej twarzyczce Pepity. A gdyby omdlały, ów młodzieniec zobaczył ją też był, tak nad sobą z rękami załamany stojącą, załzawioną i on by może dla niej uciekającego pożałował życia. Bo i ona śliczną była.

Kwiatek ten dziwnej urody miał w sobie dwoistą piękność: kroplę krwi Południa i krew dzieci Północy. Matka jej była włoszką, ojciec polak, z obojga wzięło dziewczę co mieli najpiękniejszego: włoski włos i oczy czarne ogniste, płeć świeżą i wdzięk niewysławiony naszej ziemi. Dziecię tych dwojga plemion było cudem piękności w pączku jeszcze, z tym wdziękiem naiwnym dziecięcia, który mu daje aureolę aniołów. Wychowanie ani życie nie

starło z jej oblicza tego puszku kwiatowego i dusza jej jeszcze się tak uśmiechniono otwierała do świata, jak kielich lilii do słońca.

Lekko ubrana, a raczej przyodziana tylko sukienką prostą, z chusteczką na ramionach, z włosami niedbale związanymi, które się z więzów wymykały nieposłuszne, spadając na białe popiersie dziewczęcia, Pepita, choć ją za ubogą sługę wziąć było można z niedbałego stroju, miała postawę i ruchy królowej.

Gdy ludzie nadeszli i doktor z niemi, nieco zawstydzona, usunęła się Pepita na bok, ale oczy jej nie zeszły z leżącego i trwoga malowała się na pięknej twarzyczce.

Doktor sam schyliwszy się, choć mu to z ciężkością przychodziło, począł pomagać niezgrabnym i trwożliwym żydkom, którzy wielki wstręt okazywali do zetknięcia się z ranionym. Połajał ich nawet. Pepita ruszyła się, jakby chciała sama przyjść w pomoc i na ratunek, ale się zawstydziła, zawahała i stała spoglądając na wuja, gdy Mellini, podniósłszy ku niej oczy, przebaknął:

— Nie masz co tu stać! idź przodem, przygotuj moje łóżko, a nie to sofę w pokoju, żeby go gdzie było złożyć....

— U mnie! — odezwało się półgłosem dziewczę.

Doktor już nic nie odpowiedział, bo był zajęty umieszczeniem wygodnem głowy chorego na dywaniku i sam ją z ziemi podnosił. Pepita, zawahawszy się nieco, pobiegła ku dworkowi...

Odchodząc usłyszała jęk, który się dobył z piersi rannego i zarumieniona, z bijącym sercem, pośpieszyła

przodem.

Obok dworku doktora mieszkał felczer, którego on używał. Pepita, z troskliwością i przytomnością prawdziwie niewieścią, po drodze podbiegła do okna i wywołała starego Kerna, który, choć nie mógł zrozumieć po co go wołano, odział się i wyszedł za nią.

Mellini prowadził żydków, niosących rannego, podtrzymując mu głowę i kierując ich pochodem. Zobaczywszy Kerna, chudego, małego starowinę, dał mu znak.

— Bandaże! — zawołał....

Zbliżali się do drzwi dworku, w którym już biegające światło widać było. Pepita ze starą swą ochmistrzą Gawłowską krzątała się na przyjęcie chorego... Kern z bandażami szedł za nim, a w dali, narzuciwszy na ramiona opończę, w pantoflach, bez czapki, w jarmułce tylko, kroczył powoli gospodarz winiarni, stary Selig, pragnący widać wytłumaczyć się przed doktorem, który nań wcale nie zważał.

W progu ze świecą czekała Pepita, jedną ręką unosząc ją, drugą poprawiając chusteczkę. Gawłowska, stojąca nieco opodal, która to dziecię wychowała, choć niewiasta ciekawa, nie mogła się jednak powstrzymać od wpatrzenia w twarzyczkę Pepity, bo nigdy jej jeszcze tak strasznie poruszoną nie widziała. Dziewczę drżało całe i lichtarz ze świecą kołysał się w jej ręku.

Rozkazującym niemal głosem odezwała się Pepita do niosących:

— Do mojego pokoju!

Doktor podniósł głowę.

— Co znowu!

— Tam będzie najlepiej, spokojnie. Ja się przeniosę do Gawłowskiej — dodała i powtórzyła stanowczo: — do mojego pokoju!

Mellini coś zamruczał, ale się nie sprzeciwił; poniesiono chorego na prawo, do pokoiku, w którym łóżko już ułane nań czekało. Pepita została w progu, Kern z doktorem i posługaczami weszli sami. Drzwi się zamknęły za nimi.

Nieco opodał, z głową zwieszoną, zadumany, stał Selig, widocznie z jakimś objaśnieniem, czekając na doktora.

Przez zapuszczone firanki izdebki panieńskiej widać było tylko migające światło.

Dziewczę z Gawłowską zostało w sieni.

— E! niech bo panienka stąd idzie! — odezwała się ochmistrzyni. — Cóż my tu wystojemy! Co bo znowu przepadać za jakimś pijaczną, co go porąbali!

Spojrzała na wychowankę, która jej potrząśnięciem głowy odpowiedziała tylko, ale się nie ruszyła krokiem.

Z izdebki, do której wniesiono rannego, dał się słyszeć jęk, potem westchnienie, głos mrukliwy Melliniego, i znowu potem ucichło. Gawłowska już nie próbowała odciągać Pepity, która z uchem prawie do drzwi przyłożonem, pilno śledziła najmniejszy szelest ze wnętrza dochodzący.

Trwało to dosyć długo. Odezwał się krzykiem rozbudzony z omdlenia ranny, i widać mu wysilanie się to zakazano, bo zamilkł zaraz.

— Żyje! — zawołało dziewczę do Gawłowskiej — żyje!

Ochmistrzyni ruszyła ramionami. W tej chwili dały się słyszeć kroki doktora, idącego ku drzwiom, i Pepita odsunęła się od nich nieco.

Mellini wyszedł ręce wyciągając zakrwawione i wołając:

— Wody!

— Będzie żyć? — pośpiesznie zapytała Pepita.

Wuj popatrzał na nią i uśmiechnął się.

— Zdaje się, że się wyliże! — odparł ze zwykłą sobie pozorną obojętnością.

Siostrzenica pośpieszyła za nim kilka kroków, chcąc się coś więcej dowiedzieć.

Szydersko popatrzał na nią stary, i myjąc ręce, począł;

— A! wy! wy synogarlice! Żeby tak jaki stary dziad z siwą brodą, kulawy, łysy, znalazł się jejmościance na gościńcu, dalipan! że takbyś się jego życiem i zdrowiem nie zajmowała bardzo. Ale chłopak ładny!...

Doktor się rozśmiał, Pepita zarumieniła, i ruszywszy ramionami, odwróciła. Tuż stał Selig, czekający na to, aby Melliniego pochwycić. Zobaczył go stary.

— A ty czego chcesz? — spytał.

— Dwa słówka do pana konsyliarza...

Pepita wyszła trochę nadąsana. Selig wszedł, poprawiając jarmułkę i płaszcz na ramionach przewieszony.

— Ja tyle panu konsyliarzowi chciałem powiedzieć — odezwał się, przystępując ku niemu, niższym głosem winiarz — ja tyle panu konsyliarzowi powiem, co mnie się

należy. Pan jest człowiek rozumny, panu wiele gadać nie trzeba.

Mellini patrzył z wyrazem dobrodusznej ironii.

— Ja tu nic nie winien — kończył Selig — na moje dzieci i wnuki! bodaj zdrowe były! ja tu nie winien i — na tyle. Przyszli, może ich było sześć, a może siedem, wszystko takie byki wesołe, co strach! — Wina! — Czemu ja im nie miałem wina dać? Na co u mnie wino ma stać? Ja jego tam nie wypiję! Co ma skwaśnieć? Ja im postawiłem wina. I nie żadne osobliwe: deszczówkę. Wzięli pić! A gdzie tam! Zaraz: ty mordiaczu! tak i owak. Dawaj lepsze! Czy to my nie mamy czym płacić!? — Kazałem im dać gąsiorek wytrawnego. A co im gąsiorek! Jak wzięli chlać a chlać! i gąsiorek stłukli! Wołają znowu wina. Co ja im nie miał dać? Przynieśli drugi.

— Ale któż oni są? Kto to taki? — przerwał doktor.

Selig poruszył ramionami.

— Ten, co jego porąbali, choć on może trzy albo cztery razy u mnie pił, ja jego nie wiem, kto on taki. A ci co z nim pili, to nie żadne osobliwości, to od palestry tego tałałajstwa, co ono w dzień papier smaruje, a po nocach ludziom łby rozbija... To łajdaki, z przeproszeniem pana konsyliarza; i żeby on co lepszego był, on by się też z takim szujem nie wdawał... Dobrze jemu tak.

— Jakże go zwali?

— Co ja słyszał, to tylko Wicek... a co ja mogę wiedzieć, jaki Wicek?

— Cóż było dalej? — zapytał Mellini, który już niecierpliwie ku drzwiom spoglądał.

— Niechże pan konsyliarz posłucha do końca — westchnął Selig. — Koło drugiego gąsiorka, już zaczął ten (tu żyd palcem pokazał w stronę izby, w której leżał ranny), ten... kto jego wie? Wicek! z tamtych, co ich było sześć albo więcej, drwić i kpić co wlało. Z początku się śmieli pięć gdy on z szóstego drwił, ale jak ich po kolei oporządzać zaczął, w końcu, ja widzę, rwą się. A temu w to graj! im oni więcej się burzą, tym ten bardziej się śmieje, aż za boki trzyma, a wymyśla... Gryzipióry! a! i gorzej daleko, co nie mogę powtórzyć. Naraz jak się oni wszyscy zerwą na niego... Zobaczyłem, że to nie żart, krew się będzie lać, tak ja wybiegł tam... U mnie tu nie żaden szlachtuz, idźcie sobie asanowie gdzie chcecie. U mnie dom uczciwy, w którym, broń Boże, żadnej zabijatyki ja nie ścierpię... A oni już szabel podobywali i cisną na tego Wicka, a on śmiejąc się im odcina, i co chlaśnie, to plejzeruje... Aj! gwałt!... Szczęściem, łaska Pana Boga, że nie u mnie, tylko się wytoczyli precz za bramę, a ja Mordkowi kazał zaraz zamykać. Patrzą przez okno, a oni go na wszystkie strony wzięli, obstąpili, i rąbią już na kapustę. Tak ja sobie oczy zasłonił...

To mówiąc Selig, zakrył oczy znowu i zamilkł.

Mellini pogardliwie ramionami zżymnął.

— Na coś to lepszego wygląda, niż na takiego palestranta — dodał — ale lichy go wie!

— Pewnie że jemu wygląda tak, jakby on się na wielkiego pana urodził, ale co to ma do tego? — dodał Selig — kiedy on Wicek!

Niechcąc już słuchać reszty, doktor do pacjenta dążył; Selig go zatrzymał.

— Niechże, uchowaj Boże, jakiej mitręgi, pan konsyliarz mnie będzie świadkiem, że ja tu nie winienem nic. U mnie się to nie zrobiło. Dom uczciwy, w którym nigdy żadnego kryminału nie było.

Mellini popatrzał nań i z politowaniem się uśmiechnął. Żyd podniósł jarmułkę, potrząsnął nią nad głową, pokłonił się nisko, i wyszedł, klapiąc pantoflami. Doktor na palcach wszedł do chorego, przy którym Kern siedział. Cisza panowała w domu. Pepita, którą Gawłowska gwałtownie do snu pędziła, łóżko jej przygotowawszy u siebie, nieposłuszna biegła ciągle pode drzwi rannego, przysłuchiwała się niespokojnie i o położeniu się wcale nie myślała.

Zastał ją tak po północy w sieni stojącą Mellini i surowo napędził.

— A idźże mi ty spać! — zawołał — co cię tam korci ten błazen, którego posiekali! Nic mu nie będzie, a i nie wart, żebyś tak się o niego troszczyła, bo to jakiś szalawiła, palestrant, pijak i burda, — i dobrze mu!

Mellini nie odszedł już, póki siostrzenicy w ręce Gawłowskiej nie oddał i nie polecił jej, ażeby ją gwałtem spać położyła.

Słówko teraz o starym konsyliarzu, panu Joachimie, inaczej Giacomo Mellini, który przed laty kilkudziesięciu dostał się do Polski z Saksonii. Był on synem jednego z tych licznych Włochów, których cała kolonia nad Elbą za Augusta Mocnego się osiedliła. W pobliżu królewskiego zamku, ubożsi z nich, wszelkiego powołania artyści, rzemieślnicy, aktorowie, zajmowali tak zwaną wieś włoską nad Elbą. Większa część tak się tu rozgościła, że już do

kraju powracać nie chciała. Wielu z nich dzieci podochodziły w różnych gałęziach służby publicznej wysokich stopni i przerodziły się w Sasów. Rodzice Melliniego, oboje Włosi, wychowali go jeszcze na Włocha, a choć i po niemiecku się chłopak nauczyć musiał, nigdy o swym pochodzeniu nie zapomniał, i był nim dumnym. Nadzwyczaj zdolny, choć przy ojcu sztukatorze trochę smaku i techniki się nauczył, okazywał tak wielką ochotę do nauk przyrodzonych, do medycyny, że go do Lipska oddano. Tu zaledwie skończywszy studia, gdy mu się w Saksonii zajęcie nie trafiło, dał się polskiemu panu Sapiezie wywieźć zagranicę. Został nadwornym jego doktorem, praktykował długo, na ostatek uciulawszy trochę grosza, przeniósł się do Lublina. Młodszą siostrę sprowadził do siebie i wydał ją tu za męża, a gdy owdowiała, z córką ją wziął do siebie, na ostatek po jej śmierci opiekował się Pepitą.

Człowiek był niezwykajny, umysłu przenikliwego, spokojnego ducha, usposobienia szyderskiego, pod spodem Włoch, na wierzchu trochę Niemiec, wreszcie długim pobytem w Rzeczypospolitej spolszczały. Język włoski, który nadzwyczaj kochał, pomógł mu swym dźwiękiem do dobrego wyuczenia się po polsku. Mówił bardzo dobrze i poszewki niemieckiej wcale w nim czuć nie było. W dodatku Niemców nie lubił i prześmiewał ich, ale i Polakom z nim nie lepiej się działo.

Żartował sobie z nich, choć sympatyi dla nich miał więcej.

Mellini nie żenił się nigdy. Znano go z różnych dziwactw a nade wszystko z wielkiej serca dobroci, która zdawała

się być w ciągłej sprzeczności z językiem.

Na ludzi wygadywał co mógł najgorszego, posługując się wielkim zapasem włoskich przysłów, które wtrącał do każdej prawie rozmowy; mimo to każdego nieszczęśliwego ratował i był dla tej biednej natury ludzkiej tak pobłażającym jak nikt.

Dla niego wszystko było wytłumaczeniem. W żywe oczy prześmiewał każdego, za oczyma uniewinniał. Niekiedy był tak nieopatrznie prawdomówny, że sobie robił nieprzyjaciół. Mówiono że i ze dworu Sapieżyńskiego, po długich latach służby i przyjaźni, wynosić się musiał w końcu coś językiem nagrzeszywszy.

Mellini jeśli kogo kochał w świecie więcej niż w ogóle wszystkich, to może swoją wychowankę Pepitę. Najprzód przypominała mu ona matkę, potem siostrę, nareszcie jedną ją miał na świecie. Co porzucił niegdyś w Dreźnie powinowatych, powymierało wszystko: był sam. We Włoszech z rodziny co się zostało, w tak biednym było stanie i ciała i ducha, iż z nią obcować nie mógł. Posyłał im zapomogi, raz nawet podróż przedsięwziął do Mediolanu dla widzenia jakichś krewnych, ale wróciwszy nie mówił o nich ani słowa nikomu, nawet Pepicie.

Pod okiem wuja, trochę dziwaka, dziewczę wychowało się jakoś także nie zwyczajnie. Najprzód długo dosyć dawał jej dziczeć prawie, chcąc, jak mówił, nieprzeszkadzać naturze w rozwinięciu się jej z całą potęgą. Gdy, mimo to, dziecko okazywać zaczęło zdolności wielkie, uczył ją sam i dawał nauczycieli, nie żałując na to. Ale uczył szczególniej tego, do czego dziecko samo miało popęd i ochotę. Cieszył się dla swoich

oczu pięknnością nadzwyczajną Pepity, ale zarazem nie był jej rad.

Różne włoskie przysłowia przychodziły mu w pomoc przeciw piękności:

— Belle donne, guerra in casa. (Piękna kobieta, wojnę do domu przynosi)...

La donna è come la castagna, bella di fuori e dentro ha la magagna. (Piękna kobieta jest jak kasztan, po wierzchu gładka, a w środku chropawa), i t. d.

Wzdychał patrząc na Pepitę, i chował jak mógł od ludzkich oczów. Pepita nie wychodziła prawie na krok z domu sama, a wczorajsza wycieczka do sąsiadki, tylko dlatego była dozwoloną, że dworek jej z okna widać było: we wszystkich dalszych wycieczkach towarzyszyła jej Gawłowska. Być bardzo może iż dlatego nawet, osiadając w Lublinie, doktor się postarał o dworek na przedmieściu, aby samego miasta i gawiedzi trybunalskiej uniknąć.

Pepita skazana prawie wyłącznie na towarzystwo wuja, którego kochała bardzo, pocziwiej lecz niezmiernie prostodusznej Gawłowskiej i kilku starszych a niewielu młodszych jejmości, wyrosła na istotę oryginalną. Miała jakąś nie kobiecą prawie swobodę i męstwo ducha. Było w tym coś nieopatrności dziecięcej, śmiałości w mowie doktora i żywości własnej. Zarazem dziecinna i umysłem wykształcona, zastanawiała naiwnością przeplataną rozumem, tak że jedno z drugim się nie mieszało. Umiała być i dzieckiem, które bawiło wszystko, i bardzo poważną niewiastą, patrzącą na świat z wysoka. Tego co się zwało wyższem i lepszem towarzystwem, Pepita wcale

nie znała. Gdy do doktora przychodzili goście mężczyźni, nie lubił żeby się przed niemi pokazywała.

Nie mówił o tym nigdy, lecz w duszy bardzo mu było pilno zdać trudną opiekę i czuwanie nad tą niebezpieczną pięknoscią w ręce jakiego uczciwego człowieka. Za pana wydać jej nie chciał, ażeby nie wyrzucano jej potem plebejuszowskiego pochodzenia, a znał też życie i sprawy ówczesnych magnatów, których się napatrzył w Saksonii, ba i w Polsce. Za bardzo prostego człowieka dać jej też nie mógł, boby jej nie starczył rozumem a tego średniego który by dla niej przystał, znaleźć bardzo było trudno.

Czas jeszcze miał doktor, bo Pepita nie dochodziła lat dwudziestu i wcale się za mąż nie wyrywała. Mellini tylko w duchu dla swej otyłości i uderzeń krwi do głowy, obawiał się na siebie jakiego tragicznego, nagłego końca. To go niepokoiło. Prowadził życie czynne, był dosyć z zasady wstrzemięźliwy, ale w praktyce jeść dobrze lubił, a gdy się zapomniał, dużo... Wróciwszy do swego pokoju, gdy Pepitę spać wyprawił, a Kerna posadził przy chorym, zadumał się Mellini.

— Po co mi go było brać do domu? — zapytał się w duchu siebie. — Mogłem go umieścić u Seliga. Będzie z tym kłopot, dziewczyna ciekawa, a to wisus jakiś, z oczu mu źle patrzy.

Ma wprawdzie twarz piękną i arystokratyczną, ma coś w sobie pańskiego, i w mowie zdradza lepsze wychowanie; ale jawna rzecz że to w niwecz popsute: łotra kawał!

Trzeba go dokądkolwiek wytransportować. Pepita niezmiernie mu się przypatrywała i była nim zajęta. Litość

jest głupią rzeczą w dziewczynie, bo komórka w której się ona mieści, graniczy z inną...

Namarszczył się Mellini, lecz wprędce rozchmurzył.

— A! ba! — rzekł robiąc sobie lemoniadę — ze strachu mi się widma roją!

II.

Rany tego nieszczęśliwego wisusa, wedle wyrażenia doktora, nie były tak straszne, jak się w początku wydawały. Krwi mu zbiegło dużo, cięcie w głowę było silne i mogło być niebezpieczne, gdyby się do kości dostało; szczęściem skórę tylko rozplątało i wstrząśnięcie na mózg nie podziało. Inne rany, których było kilkanaście na ramionach, plecach i piersiach, po dobrym opatrzeniu mogły się pogoić prędko. Pierwszego dnia leżał jak odurzony chłopak, dostał potem silnej gorączki, w której śpiewał, krzyczał, wyrывał się, miotał, łajał, ale po śnie głębokim i orzeźwiającym trzeciego dnia był już przytomny.

Gdy doktor przyszedł do niego, zastał go z obwiązaną głową, ale siedzącego na łóżku, jak gdyby się wybierał w drogę.

Teraz dopiero, gdy był już panem siebie i twarz do naturalnego swego wyrazu wróciła, doktor mógł się mu lepiej przypatrzeć. Nadzwyczaj pięknych i regularnych rysów fizjognomia, miała wyraz osobliwy lekceważenia, goryczy razem i szyderstwa, pańskości jakiejś i pogardy samego siebie.

Popatrzał na Melliniego uśmiechając się.

— A to pan byłeś łaskaw? — przebąknął.

Doktor, milcząc, głową poruszył.

— Jakże bo to ja mam szalone szczęście — dodał z ironią ranny; — ta szuja mnie pokiereszowała

wszetecznie, a los chciał aby się to stało o trzy kroki od domu doktora. Saperlo He!

Wykrzyknik Francuzki trochę zdumiał Melliniego.

— Z kimże mam honor? — spytał cicho, wpatrując się w niego.

— Daj-że pokój doktorze — rozśmiał się zagadnięty — ja nie jestem już z tych, z którymi się ma honor, ale których diabli hoduja.

Bądź jednak spokojny, byłem się trochę wylizał, ruszę w świat.

— No, ale któż pan jesteś? — zapytał Mellini — boć przecie słuszną rzecz....

A! słuszną! bardzo słuszną! — śmiejąc się ciągle mówił ranny. Ale się rozczarujesz, mój łaskawco; nazywam się Wicek Szarzak, jestem synem leśniczego z Końskiej Woli. I po wszystkim!

Dokończywszy, śmiać się zaczął mocno, ale go rany zaboląły i syknął. Spojrzał na doktora, który ruszył ramionami.

— Słowo ci daję, mój dobroczyńco i salwatorze, jak mnie widzisz, tak mnie pisz. Golissimus, biedota, tylko tyle, że humor doskonały.

A kiedy myślicie wypuścić mnie znowu na zieloną paszę? — dodał.

Doktor poruszył głową, nie dając odpowiedzi.

— Bo, widzicie — ciągnął dalej ranny — muszę rachunek mój dokończyć z tą plugawą gawiedzią... Te plebejusze bestie, to ani pić ani bić nie umieją.... Wystaw sobie doktorze, sześciu takich drabów! żeby to było co

pocziwego, byłbym dziś na nosiłkach. Teraz ja im muszę po osobno każdemu dać pro memoria.

— Bądź-no pan spokojnym i nie wiele mów! — rzekł doktor.

— Ale, nie obawiaj się o mnie — odparł ranny — mnie lichy nie weźmie, właśnie dlatego, żeby to może komu było na rękę. Gdybym był na świecie potrzebny, a! to co innego; wtedy, bym się szpilką ukłuł i byłoby po mnie: a tak, ani pałką nie dobije!

Mellini wpatrywał się w niego bacznie, a badawczy wzrok nie podobał się rannemu. Poprawił bandaż na głowie niecierpliwie.

— Co się to asan dobrodziej tak wpatrujesz we mnie, hę! Może znajdujesz, że na syna leśniczego z Końskiej Woli zanadto przyzwoicie wyglądam. Ale kto to może wiedzieć, czy tam nie zaszła jaka falsyfikacja?

Podparł się na stoliku i gorzko się śmiać począł.

— Dosyć żem Wicek Szarzak i basta! — dodał po chwili.

Mellini, słuchając go, z każdego słowa czytał, że miał z kim innym do czynienia.

— Możesz waćpan być i synem leśniczego i kim chcesz — odezwał się — a zawsze nie ciekawie się spisałeś wdając w burdę karczemną.

— A! za pozwoleniem — ironicznie przerwał ranny. — Co winiarnia, to nie szynk!

Palestranci, prawda, szuja, ale rodowita szlachta! Ba! ba...

— I waćpan też szlachcic jesteś? — zapytał doktor. — Ja coś o szlachcie tego nazwiska nie słyszałem.

Wicek znowu mocno się śmiać począł i syknął.

— Nie jestem szlachcic — odparł — jako żywo, wypieram się tej ekstrakcyi, nienawidzę szlachty i panów; chłop jestem, cham, prosty człek, od siekiery wyciosany, z gliny najpowszedniejszej ulepiony... plebeius plebeissimus!

— Żartujesz sobie ze mnie! — szepnął doktor zimno.

— Nie, kochany konsyliarzu — odezwał się zawsze ironicznie ten, który się Wickiem Szarzakiem nazwał — nie, nie żartuję z pana, ale z siebie! Tak! to wielka różnica! Co bo pan chcesz, człek bywa w takim usposobieniu, gdy nareszcie z siebie samego żarty stroi.

— Trafia się to — odpowiedział Mellini — ale nie w wieku pana.

— A! wiek! wiek! — począł młody — to rzecz stosunkowa. Pan mnie zrozumiesz; są, co w sześćdziesięciu kilku leciech mają ich rzeczywiście ledwie ośmnaście i gołowąsami umierają, a są tacy, jak ja, co w dwudziestu kilku już zgrzybieli.

— I sami sobie winni! — zawołał Mellini.

Skrzywił się p. Wicek.

— Czasem oni, a niekiedy ludzie! O! ci ludzie! to było!
— krzyknął, bijąc w stół młody.

Doktor nań popatrzał.

— A waćpan-że co innego jesteś? — spytał. Łajesz ludzi, maszże być wyjątkiem?

Trochę zdziwiony popatrzał nań Wicek.

— Licha tam! — rzekł, śmiejąc się znowu — taka bestia ze mnie paskudna, jak i oni. Kubek w kubek. Jużem ci się

dobrze zarekomendował tym, żeś mnie po burdzie, pokiereszowanego znalazł w rynsztoku: to dosyć!

Ja się też za anioła nie sprzedaję, ale i reszta nie wiele warta. Ta między nami różnica, szanowny konsyliarzu, że oni sobie archanielskie skrzydła przypinają do zasmolonego grzbietu, a ja się okazuję jakimś Panu Bogu stworzyć się podobało, na utrapienie ludzkie!

Mellini uśmiechał się mimo woli, a poczekawszy nieco odezwał:

— Wszystko to bardzo ciekawe i interesujące, a najosobliwsze to, że waćpan syn leśniczego z Końskiej Woli, tak się jakoś wyrażasz, jakbyś za piecem u tatka się nie wychował.

Zaczął prychać słuchając młodzieniec i próbował pokaleczoną ręką wąsa kręcić.

— Mój konsyliarzu — rzekł — bo to widzisz, leśniczy leśniczemu nie równy. Mój czcigodny papa zamożny człek, dawał mnie na nauki po świecie! Miałem metrów, posyłał mnie do Paryża, gdzieś bruki zbijał z paniczami co się zowie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Nie dowiem się więc z kim mam honor? — rzekł Mellini.

— Ale jaki u kaduka honor? — przerwał niecierpliwie chory — honoru około mnie ani za grosz. Był kiedyś, teraz go niema. Co było a nie jest, nie pisze się w regestr; jestem plebejusz Wicek Szarzak i kwita.

— I czymże się pan zajmujesz! powołanie jego? — spytał doktor ironicznie także.

— A no, to trudno się da zdefiniować — począł chory z wolna spuściwszy oczy — robi się co się zdarzy. Piję tego co się zowie, biję doskonale, łżę gdy trzeba aż strach, kłać umiem i z francuzka politycznie i z polska od ostatnich... Piosnek moc śpiewać umiem, gram na klawicymbale i na gitarze, w karty od chapanki i družbarta począwszy do faraona, gerfectissime; koperczaki stroić do panien i do mężatek potrafię niezgorzej, i żwawo prowadzę romanse, choćby dwa i trzy naraz. Cóż waćpan chcesz, albo to mało talentów! trzebaż czego wiecej jeszcze? Z tym się w Warszawie żyje tak jakby się klucz miało i wsi kilka. Nieszczęściem skład okoliczności zmusił mnie, wystaw asindziej sobie, opuścić stolicę w chwili gdy się oto sejm zbiera, pole do żniwa... i tu wpadłem między takich co w sześciu na jednego idą!!

Mellini słuchając żartującego sobie młodzieńca nie wiedział już co myśleć. Im więcej się w niego wpatrywał i przysłuchiwał mu, tym mocniejszego nabierał przekonania że miał do czynienia z jakimś paniczem, incognito chcącym zachować, rozwydrzonym, rozpuszczonym jak dziadowski bicz, ale bystrym i niepospolicie obdarzonym.

Milczał jeszcze doktor, gdy p. Wicek zerknąwszy nań, ciągnął dalej.

— Pojmuję to, szanowny konsyliarzu, że, koniec końców chciałbyś może wiedzieć z kim masz do czynienia, boć winien ci będę za trudy i gościnę. W tym sęk... Jużciżeś kazał zrewidować moje kieszenie, gdyście mnie tu na to łóżeczko komportowali i przekonałeś się że w nich vacuum. Był bestia jednak, kulfon... ale i o tym

nie umiem powiedzieć, czym go w winiarni nie rzucił na stół. W obecnej mojej sytuacji, w istocie, nemo dat qui non habet, nie uiszcę się, mój zaś tatko w Końskiej Woli, gotów się mnie zaprzec a nic za mnie nie zapłaci... Radzę więc ci konsyliarzu obandażowawszy mnie, wyrzucić na ulicę! Co wiele ceremonii robić. Lipiec, nie zmarznę... Cha! cha!

Doktor się zasępił i obraził.

Wstał z krzesła.

— Juści to prawda — odparł z dumą pewną — że ksiądz z ołtarza, pisarz z kałamarza, a doktor żyje z tego co mu się nadarza, z purgansu i mikstury; ale widzisz asindziej, są doktorowie i doktorowie. Ja lubię czasem trutniów z ulicy zbierać i robić na nich doświadczenia, in anima vili.

Usłyszawszy to młodzieniec, drgnął cały, na policzkach błysnął rumieniec, lecz się wnet pohamował.

— Oddałeś mi asindziej z nawiązką! Nie gniewam się.

— Ja też! — rozśmiał się doktor — widzę tylko że my z sobą ładu nie dojdziemy.

— Właśnie że my, jak ja teraz widzę — rzekł młody — my możemy z sobą dojść do kompromisu. Kiedy ja mogę wyjść stąd bezpiecznie, żeby na ulicy się nie wywrócić?

— Cóż pilno waćpanu? — spytał doktor. Dziś się to oznaczyć nie da. Wyliżesz się wprędce, ja zatrzymywać nie będę, ale wyprawiać nie chcę, bo na to mnie jeszcze stało żebym gościnę mógł dać.

— Waćpan widzę jesteś filantrop? he? — spytał młody.

— Czasami — rzekł Mellini.

— Ale dalipan, jeżeli się spodziewasz że w mojej skórze znajdzie się zaklęty królewicz, to się omylisz — dodał Wicek. To prawda, zem się z paniczami chował, że panickowato wyglądam; ale jestem bez grosza, dachu, domu i łomu a co gorzej bez rodziny. Swoi się mnie a ja ich wyparłem... jestem Wicek Szarzak! Cha! cha!

I pokładając się na łóżku począł się śmiać dziwnie, powtarzając ciągle — Wicek Szarzak!! Doktor stał przypatrując mu się, gdy z łóżka porwał się nagle ranny i siadł.

— Konsyliarzu złoty! — rzekł głos zmieniając na żebrzący — gdybyś był istotnie gościnnym w domu, wiesz cobyś uczynił? Otobyś mi dał lampeczkę wytrawnego wina!

— A! tak! zapewne! aby ci na noc dała gorączkę i rany pojątrzyła! tęgi z waści doktor...

— Medycyny się nie uczyłem, oprócz w Paryżu gdym był na jednej sztuce, gdzie kilkunastu doktorów występuje z bronią w ręku! Sztuka piękna i budująca, ale, szanowny konsyliarzu, mam moją naturalną medycynę i rezonuję tak: natura do zagojenia ran potrzebuje sił, co siłę daje? wino; ergo... rozumiesz...

Rozśmiał się Mellini.

— Ja — rzekł — rezonuję całkiem inaczej. Opatrzna natura gdy kto ma krew zbyt gorącą i obfitą, nasyła na niego sześciu palestrantów aby mu jej upuścili, i każe go osłabić, aby rozum miał czas wziąć górę nad szaleem... Wina asindziej u mnie nie dostaniesz, ale klejku, rosołu, bułki, ile trzeba...

Kłaniam uniżenie!

I wyszedł śmiejąc się.

III.

Leczenie ran szło swoim porządkiem, choć niemożna było powiedzieć, ażeby ten gość w domu dogodnym był domownikom.

Nie skarżyła się na niego panna Pepita, ale szemrała Gawłowska i doktor pilnował tego, ażeby panna się nie pokazywała; więc ją trzymano jak niewolnicę, co w zły humor żywe dziewczę wprawiało.

Chory zaś w miarę jak do sił przychodził, coraz się w swojej izdebce niespokojniej znajdował. Po całych dniach śpiewał, hałasował, chodził, nie mógł usiedzieć w miejscu, rzucał się jak zwierz dziki w klatce. Słysząc go było w całym dworku, nawet w pokoju dość oddalonym Gawłowskiej, w którym Pepita z krosienkami rezydowała.

Była ona bardzo muzykalną, doktor też lubił muzykę pasjami, staruszek Schafner kapelmajster dymisyonowany przez księcia Ogińskiego, osiedlił się był właśnie w Lublinie. Mellini go uprosił żeby dawał lekcye śpiewu siostrzenicy; a że Pepita miała prześliczny sopran, a Schafner był zapalonym wielbicielem wokalnej muzyki, podjął się tego z wielką satysfakcją. Parę razy na tydzień przychodził zwykle do dworku i na klawicymbale stojącym w saloniku doktora, towarzyszył do śpiewu pięknej pannie.

Właśnie egzer cytowała się w arii z Didone abandonnata, bardzo natenczas w modzie będącej.

Jednego z tych dni Niemiec się zjawił. Był to staruszek w peruce, z laską, na cienkich nóżkach, zaschły, kościany

dziadek. Chciano go się pozbyć tym, że w domu był chory, ale że właśnie wchodząc słyszał go wyśpiewującego na całe gardło Schafner, choć pięknym głosem, ale jak on znajdował, fałszywie i bez metody, uparł się, aby lekcją odbyć koniecznie. Pozamykano drzwi; zdawało się, że głos Dydony nie dojdzie do chorego, Schafner siadł do klawicymbału.

Tymczasem w śpiewie p. Wicka przypadł właśnie interwał wypoczynku, i — chory, który się był na łóżku położył, usłyszał śliczny sopran strumieniem płynący srebrzystym wśród ciszy. Zerwał się na równe nogi zdumiony, podbiegł do drzwi... otworzył je, w sieniach już ary słuchać było można doskonale. Naprzeciw z niej drzwi prowadziły do antykamery małej, a z niej do bawialni, w której stał klawicymbał. Siedział stary Schafner i przy nim stała w sukni białej, z rozpuszczonymi czarnymi włosami, przepiękna Pepita... Wicek nie wytrzymał. Głos był prześliczny, ciekawość go wzięła niezmierna zobaczyć tę która go wydawała. Zuchwały chłop, ośmielił się, jak stał, prawie nie ubrany, wtargnął do przedpokoju po cichu, przysunąć do drzwi, przyklęknąć do dziurki od klucza i, spojrzeć.

Zrządzenia losu dziwne czasem bywają. Przez dziurkę od klucza normalną, jakie się zwykle we drzwiach spotyka, niewieleby może zobaczył ciekawy łotr, co się tu podkradł. Trzeba było wypadku że od tego zamku niegdyś klucz zgubiono, że go gwałtem odrywając popsuto, nie naprawiono i że dziurka od klucza była szkaradną dziurą, w której całe czarne oko młodzieńca umieścić się mogło.

Ujrzał więc przez nie na ciemnym tle ściany obitej zielonym szpalerem, obraz, który chyba w snach rozgorączkowanej wyobraźni mógł równie uroczo zabłysnąć.

Stała za krzesłem starego Schafnera, z wielką gracyą, suchymi rączkami przebiegającego po brzęczącym jak komar klawicymbału — no — bogini jakaś? Taką mu się wydała! Z trochę podniesioną główką, z trochę otwartymi różowemi ustami, w których perłowe ząbki świeciły, Pepita śpiewała z wyrazem smutku rozdzierającym, który od słów i muzyki przeszedł na jej oblicze... Miał ją przed sobą całą, śliczną jej kibić, cudowną rączkę spartą na krzesła poręczy, główkę podrzuconą do góry, ramiona białe lekkim okryte muślinem...

Co się z nim tam stało gdy ją ujrzał, nie umiemy wytłumaczyć. Długo oka oderwać nie mógł od tego widoku, twarz mu zapalała, wreszcie zerwał się jak złodziej uciekać, usłyszawszy szelest, i stuknął w przedpokoju drzwiami za sobą.

Poszedł się zamknąć do swej izdebki.

Stuknięcie drzwiami nastraszyło śpiewającą, która zerwała się i wybiegła zobaczyć czy się kto nie wkradł do domu. Ale już chory był u siebie. Nie wiem czy się jego niedyskrecyi i zbrodniczego podsłuchiwania domyśliła, ale lekcya śpiewu została przerwana. Schafner tylko zagrał Haydna waryacye na fortepianie, pomówił z piękną uczennicą i, panna Pepita wróciła do pokoju Gawłowskiej.

Gdy wieczorem doktor przyszedł do domu i zajrzał do chorego, znalazł go w jakimś usposobieniu szczególnem.

— A wiesz, konsyliarzu — rzekł — że tu u ciebie być na kuracji, rzecz jest wcale przyjemna. Nie wiedziałem o tym że tu koncerty bywają. Co za głosik!

Doktor się strasznie zmarszczył; gdy się Pepity co tyczyło, żartować nie dawał.

— Cóżeś to waćpan podsłuchiwał! — zapytał ponurym głosem — to nie pięknie! Jesteś tu dla kuracji nie dla koncertu!

— Tak, ale Pismo Święte powiedziało: „Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słuca.” Jakże konsyliarz chcesz żebym ja rozkazom Pisma Świętego się sprzeciwił? — odparł chory — koncert był gratis!

— I wcale na ten raz niepotrzebny! — zamruczał Mellini niecierpliwie.

— Nie wolno mi spytać o divę! Kto jest ta utalentowana cantatrice?

— Waćpan umiesz po włosku? — odparł doktor.

— Hę? — odparł chory ruszając ramionami — kto to wie? może.

— Bo powiedziałbym waćpanu: Chi tutto vuole, niente ha! (kto wszystkiego chce, niema nic).

Kiwnął głową słuchający.

— Żebym umiał po włosku — rzekł z wolna — tobym waćpanu odpowiedział: A colui che vuole, nulla è difficile, (kto czego chce, temu nic trudnego niema).

Usłyszawszy odpowiedź, doktor się zmieszał mocno.

— A to co? — zapytał.

— Tak sobie, próbowałem — rzekł chory — czy mi się jaka włoszczyzna też nie uda! Doktor mi dałeś do

zrozumienia, żebym się nie dopytywał, a ja... musiałem coś bez sensu spleść.

Mellini, który się poczynął gniewać, włoszczyzną trochę został rozbrojony, jednakże wróciła mu troska o Pepitę.

— Jakże się waćpan czujesz? — zapytał.

— Chciałbyś się mnie pozbyć? — rzekł chory — ale ja gotów jestem każdej godziny, kochany konsyliarzu. Skiń tylko... Widzę, że jako Włoch jesteś zazdrosny, choć nie suponuję, ażeby ta istota tak młodzusińska była twoją żoną.

— A gdzieżeś ją waćpan już widział! — krzyknął doktor z gniewem — gdzie! jak!

Chory spostrzegłszy gniewającego się, zaczął się śmiać po swojemu.

— Mityguj się, na miłość Bożą! Nie widziałem jej tylko przez dziurkę od klucza z przedpokoju! — odezwał się. — Do tej zbrodni się przyznaję: słysząc głos nie mogłem wytrzymać. Piękna jak anioł, lecz, słuchaj doktorze! — dodał — ja w anioły nie wierzę, bom się nadto dobrze znał z dyabłami.

Bądź spokojny!

Ironicznie i gorzko chichotać zaczął.

— No, kiedy mam iść precz? — rzekł po chwili.

Mellini się zawstydził.

— Waćpan jesteś osobliwszy człowiek — rzekł.

— Ja o tym wiem! — odparł Wicek. — Byłem może stworzony na wcale nie kiepskiego człeka, robacy nadgryźli i zrobiła się osobliwsza gniłka... Ognia rosa ha la

sua spina, a ja różą nie byłem nigdy.... spina się została z gałęzi...

Włoszczyzna znowu rzucona od niechcenia, zrobiła wrażenie na doktorze.

— Ale któż bo waćpan jesteś? — zawołał gwałtownie — mów! Już ciż ja nie zdradzę.

— A ja się bo żadnej nie obawiam zdrady — rzekł chory — widzisz kto jestem, kawał łotra, z którego miał być pocziwy człowiek...

— No, i może być! — przerwał Mellini — i może, i będzie!

— Ani może ani będzie! — gwałtownie i z wielką goryczą, pierwszy raz poważniej a serio począł chory — nie, to, na com się patrzył, com przeżył psuje człowieka do gruntu. (Uderzył obu rękami po stole). Dosyć tego...

To mówiąc rzucił się na łóżko, zwrócił twarzą ku ścianie, i pozostał tak nieruchomym. Doktor już miał odchodzić, gdy usłyszał:

— A lampeczki wina? hę! nie można?

Mellini ramionami ruszył, i za całą odpowiedź głową potrząsł.

— Ty bo, szanowny konsyliarzu — odezwał się leżący — wyobrażasz sobie że spełniasz obowiązek jakiś filantropa, oddając mi zdrowie i siły! a ja ci powiadam że oddałbyś posługę, za którą by ci podziękowano może, gdybyś mi dał w przyjemnem usposobieniu pójść stąd prosto na łono Abrahamowe. Wyleczysz mnie i pójdę ludziom psie, krwawe figle płatać!!

— A to już do mnie nienależy — rzekł doktor.

— Bodajżeś skisł, stary nudziarzu! — dokończył mruczając Wicek i do ściany się odwrócił.

Mellini poruszony jeszcze tą rozmową, poszedł wprost do Gawłowskiej i Pepity.

— Potrzeba ci było dziś śpiewać — odezwał się z progu — gdy w domu mamy chorego. Skarżył mi się że mu tym piskiem sen przerwano. Przestraszył się...

Pepita załamała ręce.

— Cóżem ja winna! Stary Schafner nalegał, kazał, pozamykaliśmy drzwi wszystkie!

— Tak! tak, ależ pamiętać trzeba że to chałupa jak z kart: dosyć kaszlnąć żeby aż na strychu rozległo...

— Ale mu się nic nie stało? — spytała Pepita zmieszana. Doktor głową pokiwał.

— Dostanie trochę gorączki — rzekł dwuznacznie — ale spodziewam się że mu to przejdzie; w tych dniach też myślę się go pozbyć, bo mi ta załoga, przyznam się, jest wielkim ciężarem. I dla waćpanny też z tego niewygoda.

— A! dla mnie! — poczęła prędko Pepita — dla mnie? Ależ mnie, tu, z Gawłowską doskonale... Ja mogę zostać dopóki tylko potrzeba. Proszę wcale nie myśleć o mnie.

— Choćbym i nie myślał o tobie — dodał doktor po cichu — tego człowieka z domu chcę co rychlej się zbyć. Jest ostateczny łotr jakiś, najniebezpieczniejszego gatunku, bez czci i wiary.

— Możeż to być! — naiwnie podchwyciła Pepita zbliżając się do wuja. Któżby się mógł spodziewać! Z twarzy...

— Tak! tak! wy wszystko sądzą z twarzy! — przerwał Mellini — chłopiec niczego, ale najpaskudniejszego charakteru i z tym się wcale nie tai!

Rzuciwszy to słowo doktor, nie chcąc się wdawać w dalszą rozmowę, odszedł. Pepita została jak wkuta do posadzki, nie uważając nawet że Gawłowska na nią z przestrachem i niepokojem patrzyła.

Po chwili dopiero przyszła się obok niej i w milczeniu wzięła robotę do ręki, bezmyślnie ją obracając.

— Ktoby się tego mógł z twarzy jego domyśleć! — poczęła po cichu. — Proszę cię, moja Gawłosiu! Gdybyś ty go była widziała jak ja, tam, na ziemi leżącego we krwi, z tą głową taką śliczną! Mnie to póki życia nie wyjdzie z pamięci!

— E! co znowu! — ofuknęła Gawłosia — boś się panna nastraszyła! U stracha wielkie oczy, imaginacja jakaś! wydał się czymś osobliwym, a to szalapat, wisus i po wszystkim. Panna myśli że go ludzie nie znają!

— A któż on jest? zmiłuj się — podchwyciła Pepita ciekawie, — wuj powiada że się od niego nic nie można dowiedzieć.

— Kto ma być? Tać to już u Seliga i naokół wiedzą o nim i gadają. Na mieście on już burszował tu dawno i awantury wyrabiał, a tylko z jednej winiarni do drugiej i z jednej burdy w drugą. Na końcu przyszła kryśka na Matyska; ale to nic dobrego: nie żał go!

Gdzieś, widać, na jakimś to dworze służyć musiało, liznął po trochu tego i owego, przetań się i rozłajdaczył: gdzieś się też w rynsztoku zmarnuje!

Pepita wysłuchiwała cierpliwie i westchnęła. Z twarzy jej widać było, że choć się nie chciała sprzeczać z Gawłowską, może sobie co innego myślała.

Nazajutrz, doktor wychodząc z domu, najuroczyściej zakazał siostrzenicy, aby do sieni od ulicy wychodzić się nie ważyła i drzwi od bawialnego pokoju zamknęła na klucz aż do jego powrotu.

Rany pana Wicka już się były tak dobrze podgoiły, że właściwie jedna tylko głębsza na głowie pozostała do zabliźnienia. Nosił jeszcze bandaż, i choć ten go nie zdobił, ale pięknemu i z tą przewiązką nadto szpetnie nie było. Po wyjściu doktora, zobaczywszy przez okno, iż się ku miastu posunął, chory szybko się począł ubierać.

Nie łatwe to było zadanie, gdyż suknie w których go przyniesiono i krwią pobroczone i ziemią powalane i pomięte były i pocięte. Wicek wziął się do nich i opatrzywszy w jakim były stanie, zrazu je cisnął z gniewem od siebie. Po chwili jednak zrezygnował się wrócić do nich i nie dbając o rozcięte plecy i rękawy, począł je wycierać, wyciągać, oczyszczać. Po dosyć długim mordowaniu się nad niemi, doszedł do tego że mógł je na siebie nawlec, nie wiele się troszcząc jak w nich będzie wyglądał. Gdy to robił, usta mu drgały i krzywiły się szydersko...

W izdebce Pepity, w której mieszkał było spore zwierciadełko; przejrzał się w niem, uśmiechnął do siebie i czuprynę zatarł.

Szklanekę próżną wziął w rękę i z wolna drzwi pokoju uchylił. Wyszedł do sieni. Sień przedłużona wiodła ku drzwiom w głębi do pokoju Gawłowskiej. Jakim

instynktem tam trafił, na to chyba młodość jasnowidząca odpowiedziećby mogła. Pomalutku powlókł się przez sień jaknajciszej i... do drzwi zapukał.

Gawłowska, która drzemała nad robotą, zerwała się wystraszona, Pepita od krosien głowę podniosła i... musiała coś przeczuć, bo się zarumieniła jak wiśnia, poprawiając włosy.

Nie czekając żadnej odpowiedzi śmiały pan Wicek, wtargnął do pokoju szklankę trzymając w ręku.

— Za pozwoleniem — odezwał się tonem, mimo grzeczności śmiałym i jakby drwiącym — czy niemógłbym dostać kropli wody? U mnie jej niema, nie wiem gdzie szukać! I...

Wtem, ujrzawszy niby teraz dopiero Pepitę, która nie spuszczała go z oczów, odezwał się wesoło i trochę szydersko:

— O śliczna bogini! a to ja wczoraj anielski głos jej, kradzionym sposobem usłyszałem! Dostałem za to burę od doktora! Niechby mnie już i kijem wybił, nie mogłem wytrzymać, abym waćpanny z bliska nie zobaczył.

Gawłowska przerażona, widząc go śmiało idącego ku krosienkom, zaparła mu drogę i chciała odebrać szklankę.

— Daj mi asindźka z wodą pokój — odezwał się — szklanka i woda były tylko pretekstem! Ja się tylko do tej śliczności chciałem zbliżyć!

Pepita tonem zuchwałym nieco obrażona, cofała się za krośna. Gawłowska rozpostarła ręce.

— Ale cóż to znowu jest! — krzyknęła — jak pan możesz tak napadać kobiety! Cóż to się ma znaczyć?

Proszę pana! Niech mi się pan zaraz wynosi.

— Ale, czekaj asindźka — rozśmiał się chory — wyniosę się tylko dopowiem z czym przyszedłem...

Zwrócił się ku Pepicie.

— Kern felczer mi dopiero wczoraj powiedział, że ja pannie tej takiej ślicznej jak anioł, winienem życie; że gdyby ona mnie nie znalazła leżącego i na ratunek nie zawołała, byłbym już dziś albo śpiewał z aniołami, o czym wątpię, albo się w smole smażył. Moje ty bóstwo śliczne — dodał ręce składając — niechże ja ci... jakby to powiedzieć... dziękować niema za co! niech ci się pokłonię.

To mówiąc potracił Gawłowską; widząc go zbliżającego się, wylękła Pepita schowała się w okno i osłoniła firanką. Wszystko to nic nie pomogło, ów pan Wicek wywróciwszy kilka krzeseł, odsunawszy krosienka, z zuchwalstwem niepraktykowanem zbliżył się do okna, i choć Pepita krzyknęła, a Gawłowska go silnie za poły w tył zaczęła odciągać, pochwycił wpół broniące się dziewczę, podniósł jak piórko, i w czoło pocałował.

Widząc to ochmistrzyni wrzasnęła tak, że i na ulicy było słychać.

Napastnik postawił na ziemi wpół omdlałe dziewczę i zwrócił się do ochmistrzyni.

— A czegoż się drzesz? — zawołał — już się stało! więcej tego nie będzie... Żebym miał stąd pójść na sucho, to nie mogło być!

Pepita, nie wiadomo co się jej stało, pochyliła się ku oknu, zsunęła na ziemię, zemdląca zupełnie. Gawłowska

biegła ku niej zrozpaczona, gdy pan Wicek zawróciwszy się jak pijany wysunął się nazad z pokoju.

W progu krzykiem zwabiony stał cały fraucymer dworku, który widząc uchodzącego napastnika, dopiero zrozumiał co się stało...

Trzeźwiono biedną Pepitę.

Gawłowska we łzach powtarzała ciągle:

— O Chryste Panie! jak się doktor dowie, to on tu nas wszystkich, począwszy od niego, pozabija!

Koniec wersji demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego
wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy
kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

